

— To było w dawnych czasach, teraz łagodniej się karze, więzieniem lub grzywną.

— Och, tylko nie więzienie — zawołała błagalnie, jakby to naznaczał adwokat.

— Zależy to od sędziów. Niech się pani uspokoi. W rzadkich tylko wypadkach bywa taki wyrok.

— Ach! — odetchnęła Ninetka.

— Ale jednak zdarza się to.

— Ach! — westchnęła boleśnie.

— Tak, zwłaszcza dla osób, które miały przeszłość dość urozmaiconą. Adwokat pana Mitre będzie mógł ich sporo wyliczyć.

— Niech pan nie mówi o więzieniu, to straszne — prosiła Ninetka.

— Dobrze już, w każdym razie na grzywnę będzie pani skazana.

— Jak? na pieniądze? Ile? Pięć tysięcy, dziesięć tysięcy? ależ ja ich nie mam — i zmrużyła oczy, jak dzieci, gdy chcą płakać.

— Ależ, nie tak wiele, kochana pani. Najwięcej pięćdziesiąt franków.

— Oo, to ja mogę zaraz je zapłacić — zawołała radośnie, a oczy jej aż się zaśmiały.

— Pewien sędzia skazał nawet raz tylko na dwadzieścia susów. Dobra cena! Wiarołomstwo za franka!

— Prawie za darmo! — roześmiała się wesoła już Ninetka.

— Grzywna pewna, więzienie mało prawdopodobne, ale pani powinna zastanowić się nad całą sprawą. Pan Mitre żąda, by pani zrzekła się do córki wszelkich praw: wtedy odstąpi od skargi, która — muszę to powiedzieć — wywoła skandal, szkodliwy tak dla pani jak i dla dziecka.

— Zrzec się Gżeli! Nigdy nie widzieć Gżeli!

— Zdaje mi się, że pani córka nazywa się Made, a raczej Magdalena.

— Tak, ale ja i pan de Pre-Hautre nazywamy ją Gżelą, to ładniejsze imię.

— Sądziłem, że ten pan nie był Pre Hautre, lecz jakoś na Griffa, Nasco-griffa, z którym panią zastano na...

— Tak, tak — potwierdziła zawstydzona — w każdym razie moja córka jest moją córką...

— Bez wątpienia! Ale niebezpieczeństwo kary więzienia zapewne nie jest pani miłe. Jeżeli pan Mitre zgodzi się na odstąpienie od skargi, to lepiej przystać na jego warunki.

Wahała się. Nie zależało jej na córce, ale zrzekając się praw do niej, nie będzie już mogła zrobić na złość swemu mężowi, przez widywanie się z nią. Odpowiedziała więc:

— Chcę się jeszcze namysleć.

— Dobrze, ale niech pani spieszy się z odpowiedzią, bo czas nagli.

XXI.

OSTATNI ETAP NA KALWARYĘ.

Pan Mitre od chwili powrotu do domu po tej bolesnej scenie, gdy razem z komisarzem stwierdził na fakcie wiarołomstwo żony, nie opuścił już swego łóżka.

Siły opuszczały go szybko. Gorączka zjadała organizm. Litość brała patrzeć na niego, jak leżał z z zapadniętymi w dół oczami, wynędzniałymi policzkami, pokrytymi żółtą, pomarszczoną skórą, z czołem spoconem, ze zeschniętymi wargami, którymi poruszał ciągle, jakby mówił z sobą. Na ustach miał ciągle imię córki, wymawiane z jakąś trwogą o jej ios.

Otworzyły się po cichu drzwi i weszła Gertruda, niosąc na tacy szklanke.

— Niech pan napije się mleka gorącego, to zaraz pana rozgrzeje i dobrze zrobi. Niech pan poczeka, poprawię poduszki, wygodniej będzie pić.

Wzięła chorego pod pachy i posadziła, opierając o poduszki.

— Proszę, jest gorące i słodkie, za pół godziny przyniosę znowu.

— Made jeszcze nie wróciła?

— Przecież zaraz przyszedłby pana pocałować. Niech pan się nie boi. Razem z babcią i panią Seymour w samochodzie, to nic się jej nie zdarzy. Już pan może być spokojny. W domu to ja także dobrze czuwał.

— Dziękuję ci z całego serca, jesteś dzielna, moja Gertrudo.

— Nie, proszę pana, jestem zwyczajna. Mnie

kusiło, ale już tej starej nie chciałam widzieć, a nawet sklepniczarce nagadałam, że niema wstydu, kiedy do tego rękę przykładam. Nawet posprzeczałyśmy się. Już nie rozmawiamy z sobą.

— Masz szlachetne serce, nigdy nie zapomnę, jak uczciwie z nami postępujesz.

— Proszę pana, jakże ja bym miała nie kochać pana. Przecież zaraz widać, że państwo to tacy czyści, szczerzy ludzie, jakby z parafii Boskiej, a panienka, to już taka milutka, że aż łapie za serce. Teraz już niech pan nie nie myśli, tylko odpocznie — i ułożywszy pana Mitre, wyszła.

Przez ten czas pani Mitre, która z powodu ciągle słabnącego wzroku wychodziła coraz rzadziej, wyjechała samochodem z panią Seymour i Made na spacer do Lasku Bulońskiego. Nie była to pierwsza ich przejażdżka. Szlachetna Amerykanka zabierała je często do swego samochodu, by Made, którą szczerze polubiła i zaopiekowała się, użyła trochę rozrywki. W domu przy chorym ojcu i babce wychowywanej w dawnych pojęciach o posłuszeństwie, dziecko mizerniało i więdło.



Westchnął z ulgą, a z oczu popłynęły mu łzy.

Samochód zatrzymał się przed ogrodem zoologicznym, by Made mogła trochę pobiegać. Starsze panie poszły wolno za nią.

— Pani wydaje się być zmęczoną — odezwała się Amerykanka — proszę oprzeć się na mojem ramieniu. Jestem mocna.

— Istotnie, czuję się ociężała. Lecz czy myśmy nie zbyt długo już jeździli. Noc zapada tak prędko! Pani Seymour spojrzała na nią zdziwiona.

— Noc? Daleko jeszcze do niej... Mamy bardzo ładny czas.

— To dziwne — rzekła pani Mitre ze wzruszeniem w głosie — zdaje mi się, że już ciemnieje.

— Usiądźmy na chwilę, to pewnie ze zmęczenia — odpowiedziała zaniepokojona pani Seymour.

Spostrzegła, że pani Mitre nie widzi krzesła, które jej podaje, że błądzi ręką po cmacku.

— Czy wszyscy już wyszli, że ogród jest taki pusty? — zapytała ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

— Ależ nie, babciu, jest dużo ludzi. To babcia nie widzi antylopy, o tam! A tutaj słoń z dziećmi na grzbiecie.

— Nic nie widzę, nic nie widzę — powtórzyła głosem pełnym przerażenia.

Pani Seymour spoglądała na nią z litością. Wiedziała o jej chorobie oczu i czym to groziło.

— To już noc... noc dla mnie... — szeptała, siedząc sztywno. — Moje przeczucia... Ociemniałam!...

— Babuniu! — zawołała z płaczem Maud — niech babunia nie mówi tego.

— Nie, nie, to jest chwilowe osłabienie wzroku. Jutro przejdziemy do okulisty. On to potwierdzi — uspokajała pani Seymour.

Pani Mitre podziękowała jej za tę pociechę uściśmieniem dłoni i uśmiechem, który może poraz pierwszy oświecił dobrocią jej surową twarz.

— Zdaje mi się, że już nic on nie będzie miał do roboty. Gdybym miała kataraktę, byłaby możliwa operacja. Lecz ja byłam zagrożona paraliżem nerwu ocznego i dlatego już nigdy nie ujrzę światła.

— Niech pani nie poddaje się tym myślom; ja także miałam podobne obawy, a na drugi dzień wszystko przeszło. Chce pani już wrócić?

Smutny był powrót. Pani Seymour musiała ją prowadzić pod rękę. Made łzy płynęły z oczu. Na progu mieszkania odezwała się pani Mitre.

— Chciałabym, by Edgard nic nie wiedział. I tak dowie się za wcześnie... Dosyć on ma własnych zmartwień.

— Wprowadzę panią do pokoju, a wieczorem przyjdę odwiedzić znowu.

Gdy weszły, usłyszały jęczący głos chorego i odpowiedź Gertrudy:

— Tak, to panie wróciły i panienka.

Wyszła z pokoju.

— Niech panienka idzie ucałować swego tatusia, bardzo tęskni.

Pani Mitre odezwała się po cichu do pani Seymour:

— Niech mnie pani poprowadzi, chcę usłyszeć swego syna, kiedy nie mogę na niego patrzeć.

Weszła i pani Seymour.

— Jak się drogi pan czuje?

— Nie dobrze... Dzień dobry mam, jakie ładne kolory ma Made. Jak wy ją psujecie! I uśmiechnął się, nie spozostzegając w zmroku wyrazu twarzy swej matki.

— Tak, w Lasku było bardzo ładnie — odpowiedziała pani Mitre; Made wesoło bawiła się. Chcę zdjąć kapelusz, czy pani idzie? wyszły obie.

Wieczorem pan Mitre ujrzał znowu przy swoim łóżku panią Seymour. Obecność ta zadziwiła go i zaniepokoiła. Wzięła go za rękę.

— Mój drogi panie, wiem, że z odwagą znosi pan wszystkie smutki losu. Lepiej przygotować pana za-wczasu do nowego zmartwienia.

Ręka jego zadrżała... Wzruszona dodała szybko:

— Chodzi o pańską matkę. Niech się pan nie niepokoi.. Lepiej jednak, żeby pan wiedział, choć chciała ukryć to.

I w kilku słowach powiadomiła go o ociemnieniu matki, budząc zaraz nadzieję, że jutro najslawniejszy okulista może co zaradzi.

— Moja biedna matka — szeptał.

— Widziałem zbliżające się to nie-szczęście. Niech mnie pani nie łudzi iluzjami. Wiem, że jest to nieuleczalne... Biedna matka!

— Odwagi, panie.

— Ach, odwagi, gdy tracę ostatnią opiekę dla Made... Niewidoma... Jak może teraz czuwać nad Made! Ja sam nic już nie mogę... Córka moja... co się z nią stanie?

— Ja pozostaję — odezwała się pani Seymour.

Spojrzał na nią, jak na swe zbawienie.

— Tak, ja pozostaję i nie opuszczę tego dziecka. Obronię ją przed matką niegodną. W razie potrzeby uwiozę ją, adoptuję moralnie, uczynię ją swoją córką, swoją spadkobierczynią.

Westchnął z ulgą, a z oczu popłynęły mu łzy.

— Pani to uczyni!... Oh, mogę już umierać.

— Niech pan o tem nie wspomina. Wyleczy się pan i długo jeszcze cieszyć się będzie swą córką. Jeżeli myśl ta może panu dodać sił, powtórzę, że będę dla niej matką, że uczynię z niej uczciwą kobietę.

— Dziękuję, dziękuję... Tak, ja ufam pani... Moja matka już nic nie może w swem nieszczęściu. Lecz pani tak dobra... w ręce pani oddaję swój najdroższy skarb... Niech pani błogosławioną będzie!...

(Ciąg dalszy nastąpi).